

— Ale jakże to możliwe... — zaczął.  
— Panno Józiu!.. Panno Józiu! — Władzio wsunął głowę do pokoju — stara idzie!..  
W jednej chwili już Józi przy radcy nie było.

Powolnym, wlokącym się krokiem idzie Józia przez ulicę Karola Ludwika. Nogi ją strasznie boją. Musiałkowie dopiero o wpół do dziesiątej zdecydowali się zamknąć cukiernię, chociaż wedle umowy czynności subiektki kończą się przed dziewiątą.

Naturalnie o ciastka i cukierki brakujące była awantura. Musiałkowa „zbesztala” Józie i groziła, że wytrąci.

Młoda kobieta, doprowadzona do ostateczności, poskarżyła się na Karola. Musiałek zirytował się, chciał chłopcu dać namacalną nauczkę, ale małżonka jego stanęła w obronie swego ulubieńca.

— A jakże! Na Karola będzie wszystko spychał! Dlaczego przy Antosce takich rzeczy nie było! Dziamdzia!

Kiedy Józia wychodziła z cukierni, Karol zaśmiał się jej beczelnie w oczy i pokazał figę.

— Skarżypyta!.. Skarżypyta!..

Och! Jakże jej w głowie szumi. W całym ciele czuje ołowiane zmęczenie. A najgorzej te nogi, tak boją, od kolan aż do palców. Całe szczęście, że deszcz nie pada, bo podeszwy przetarte.

Na ulicy, pomimo późnej godziny, panował dość ożywiony ruch. Szczególnie dużo było mundurów wojskowych.

— Ktoś zajrzał Józi pod kapelusz i powie dział!

— Panienska taka sama?..

Odwrociła niechętnie głowę. Zaczepki przestały ją bawić i pochlebiać jej. Wiedziała już, co się pod taką uliczną adoracją kryje.

I wołała już być sama wśród tego tłumy. Wołała zazdrościć kobietom wesołym, uśmiechniętym, wspartym na ramieniu kochanego mężczyzny.

Za chwilę znowu zaczepka, tym razem bardziej brutalna. Iakiś podchmielony mocno młodzian zionął jej oddechem w twarz.

„Puppchen du bist mein Augestern  
Puppchen ich habe dich so gern...”

zaśpiewał chrypliwie i chwyciwszy ramie Józi, ciągnął ją ku sobie. Wyrwała się, odrzuciła go silnie i uskoczyła w bok.

— Precz!..

— Czego się panienska irytuje? Złość piękności szkodzi!.. „Puppchen du bist mein Augestern...”

Przebiegł ją dreszcz wstępu.

— Och! Żeby już jak najprędzej być w domu i położyć się, ale to jeszcze tak daleko, kilka długich ulic.

Miała właśnie kawiarnię rzeźbiście oświetloną. Przytłumione dźwięki muzyki przedostawały się na ulicę. Muzyka grała jakąś melodyję zawrotną, ognistą, miłosną.

Józia mimowoli zaczęła słuchać. Przystanęła i spojrzała do wnętrza cukierni.

— Jak tam wesoło, jasno, ciepło, rozkosznie za tą szybą. Strojne panie, eleganccy panowie. I muzyka tak pięknie gra.

Upojona melodia porwała ją. Na chwilę zapomniiała Józia o smutku swoim, o zmęczeniu i o biednych obolałych nogach. Rozbłysły oczy, rozdeły się nozdrza. Krew ją burzyć się i palić, ogniem wrzeć w żyłach, szybciej napływać do warg i policzków.

Gdyby w tej chwili ktokolwiek podszedł do niej, wziął za rękę i powiedział: „chodź ze mną tam, gdzie tak jasno i wesoło, gdzie gra muzyka” byłaby poszła bez wahania.

Ale nikt jej tego nie powiedział, natomiast jakaś starsza pani potrafiła ją silnie i zawołała ze złością:

— Słapa pani, czy co?! Stanęła na chodniku, jak ten słup!..

Józia opuściła głowę, przygasała i znowu wolnym, wlokącym się krokiem szła dalej. Skreśliła w przecznice. Musiała przejść jeszcze cały labirynt ulic, zanim dostała się w uliczkę wąską, słabo oświetloną i źle wybrukowaną.

Po stromych, niewygodnych, krętych schodach wdrapała się na trzecie piętro i zadzwoniła.

Trwało to dobrą chwilę zanim jej drzwi otworzyły. W ciasnym przedpokoju panował nieprzyjemny zaduch, jakby stęchły jakiejś, zmieszany wybiłnię z wonią gotowanej, kiszzonej kapusty.

— Kto tam przyszedł, Jadziu? — zapytał z głębi mieszkania głos kobiety.

— To panna Józia, mamciu — odparła dwunastoletnia dziewczynka, jasna blondyneczka, z długim, cienkim warkoczkiem.

Nie witając się z gospodynią, Józia poszła od razu do swego pokoju. Po omacku zaczęła szukać zapalek i nie mogła znaleźć.

— Zawsze mi zabierają zapalki — pomyślała gniewnie.

Na szczęście przynosiła sobie, że ma drugie pudełko zapalek w szufladzie. Po chwili miała, kuchenna lampka zapłonęła mdłym, przyćmionym światłem, bo Józia przykreśliła płomień, gwoździ oszczędności nafty.

Pokój był mały, więcej niż skromnie umeblowany, ale czysty. Tylko wiało tam surową pustką. Na podłodze białej, czysto wymytej, ani śladu dywanika. Ściany malowane na jednolity, niebieskawy kolor, gołe zupełnie. Żadnego obrazka, żadnej fotografii. W oknie nie było firanek, ani wazoników z roślinami. Wogóle w całym pokoju ani jednego kwiatka.

Proste żelazne łóżko, stół obity ciemną ceratą, dwa stołki, na jednym z nich blaszana miednica i podstawka na mydło i kuferek Józi stanowiły całe umeblowanie. Szafę zastępowały gwoździe, wbite w ścianę.

Widać było, że właścicielka pokoju nie dba o to, aby go upiększyć, ozdobić, aby stworzyć sobie małe, zaciszne schronienie.

Józia nie mieszkała tutaj, ona przychodziła tylko wieczorem spać, a rano zwlekąca się z łóżka niewyspana, znużona, zniechęcona do dnia, który ją oczekiwał.

Nic jej z temi ścianami nie wiązało. Nie wydobyla nawet z kufereka fotografii matki. Nie zdawała sobie z tego dokładnie sprawy, ale miała niejasne poczucie, że jest tu jakby w hotelu, na chwilę łowną.

Ale ta chwila przedłużała się w tygodnie. Nieokreślone nadzieje zamierały. Życie zaciągało się mgłą szarą, ciężką, posępną.

Młoda kobieta z utęsknieniem spojrzała na łóżko i pospiesznie zaczęła się rozbierać.

Położyć się, odpocząć, zasnąć, nie myśleć, nie pamiętać!

Spostrzegła nagle, że materyja spodnicy zaczyna się w jednym miejscu przecierać. Przestraszona jęła z uwagą, troskliwie oglądać swoje ubranie. Obejrzała potem jeszcze podeszwy bucików i pończochy, westchnęła i wsunęła się pod kołdrę, zdmuchując jednocześnie światło.

Ale dziwna rzecz. Pomimo znużenia nie mogła zasnąć. I to tak bywało prawie co noc. Przychodziła do domu taka wyczerpana, tak łaknaca odpoczynku, że zdawało się, dość będzie przyłożyć głowę do poduszki, aby usnąć snem kamiennym.

A tymczasem sen się nie zjawiał. Józia słyszała jak zegar na wieży kościelnej bił godzinę jedenastą, dwunastą, niekiedy nawet i pierwszą i drugą. Dopiero później zasypiała twardo, bez marzeń i mogłaby spać tak do południa, gdyby nie mus, który nakazywał zerwać się najpóźniej o szóstej.

Odbijało się to dotkliwie na jej zdrowiu i usposobieniu.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje, bo dawniej słowo „bezsennosc” było dla Józi pustym dźwiękiem, bez treści.

Teraz poznać miała mękę długich, bezsennych nocy, kiedy zmora troska na piersiach kładzie się i gniecie, kiedy najczarniejsze myśli jak złe, drapieżne ptaki obsiadają mózg, kiedy wszystko, co dręczy i boli, urasta do potwornych rozmiarów.

Co noc prawie przeżywała Józia myślą wszystko, co zaszło od jej wyjazdu z Łykowa. Truła się, zadreptała tem ciąglem rozpamiętywaniem, ale odgonić myśli nie mogła. Silniejsze były niż jej wola.

Pierwszą taką bezsennością noc spędziła tam, w mieszkaniu Larchówny. Lecz wtedy miała w sobie jeszcze iskrę nadziei, miała jeszcze do kogo zwracać się sercem.

Nie wątpiła, że Konrad stanie po jej stronie, powie jej: dobrześ postąpiła. Zresztą postara się o paszport, pojedzie do niego i wtedy już wszystko, wszystko na dobre się obróci.

Wprawdzie Teresa powiedziała jej:

— O taki paszport to nie tak łatwo. W każdym razie trzeba się starać kilka tygodni, jeżeli nie miesięcy. I podróż kosztowna.

Ale Józia nie uwierzyła, nie chciała uwierzyć.

Larchówna odprowadziła ją na kolej. Na kilkanaście minut przed odejściem pociągu zjawiał się niespodziewanie Łuniewski. Był blady, wzruszony, w oczach miał czułość i pokorę.

Podbiegł do Józi, jak nieprzytomny.

— Pani Józiu, błagam, niech mi pani daruje. Zawiniłem, postąpiłem podle, ale byłem jak szalony. Teraz wiem, że... Panna Larchówna opowiedziała mi wszystko o tym legionście. Niech pani daruje. Teraz pani potrzebuje pomocy. Proszę mi zawierzyć... Ja bezinteresownie...

Głos mu się łamał. Słów nie mógł znaleźć. Błagalnie spoglądał w oczy kobiety.

Przy pierwszych słowach Łuniewskiego Teresa dyskretnie usunęła się na bok.

Józia doznała wrażenia, jakby ją ktoś oblał wiaderem zimnej wody. Skrucha Łuniewskiego nie rozculiła jej bynajmniej, natomiast ogarnął ją gniew na Larchównę.

Jakiem prawem udzielała Łuniewskiemu jakichś wyjaśnień, jakim prawem mieszała się w rzecz tak w niczym jej nie dotyczącą?

Brzydkie, złe podejrzenie zaśnitało w głowie Józi. Dumne, zimne spojrzeniem zmierzyla stojącego przed nią mężczyznę.

— Nie gniewam się na pana wcale — powiedziała krótko. — Za wszelką pomoc dziękuję. Dam sobie radę.

Chciał jeszcze coś mówić, nalegać może, ale mu nie pozwoliła. Pochwyciła rączką swoją walizkę i ostro jakoś zawołała:

— Panno Tereso! Pociąg już jest... Ja wsia dam...

Obojetnie pożegnała się z Larchówną i dosyć chłodno podziękowała jej za gościnność.

Pociąg ruszył. Józia stała przy oknie, więc mogła przekonać się, że Łuniewski nie poszedł jeszcze.

Łatwo było przewidzieć, jakie przewięcie czeka ją w domu ojca. Maliniewicz, skoro dowiedział się o wszystkim, obsypał córkę gradem łajnia, pogróżek, obelg. Siny z gniewu, krzyczał, łupał nogami i porwał się nawet do bicia.

Zmitygowała go trochę żona, nie szczędząc wszakże pasierbicy ze swej strony złośliwych uwag, zjadliwych docinków, bolesnych ukuć.

— Wióćsz natychmiast! — wrzeszczał Maliniewicz.

— Nie wróć!

— Musisz! Ja ci każę! Ja cię zmuszę!

— Choćby mnie ojciec zabił nawi, nie wróć!

— Uciekałaś do niego, a teraz uciekasz od niego! Łajdaczko!..

— Za dużo masz temperamentu, moja droga — dogadywała Maliniewiczowa. — Takie jak ty, źle kończą.

— Ja nie uciekałam od męża, ale wyjechałam z domu jego matki, która inną poniewierała.

— Byłaś z pewnością zuchwała, harda, nieznośna...

— Och! Tatusiu...

— A gdzie jest ten dom twego męża? — dopytywała złośliwie macocha. — Kto ci da na utrzymanie?...

— Poradzę sobie.

— Aha! Tak się mówi, a pa'rzy się na kieszeń ojca. Twój ojciec nie ma na to, aby pokrywać takie wybryki.

— Zakała moja!.. Wieczna zgryzoła!..

— Ja nie chcę od ojca pieniędzy... Nie chcę niczego... Pójdę sobie zaraz...

— Gdzie pójdiesz, na ulicę?.. Ty jakaś!.. — Ona dobrze wie, że nie możemy dopuścić do skandalu, więc wykorzystuje sytuację.

Józia mimo wszystko przebyła w domu ojca kilka dni, w których każda chwila była jak kropla żrącej truciźny.

Musiała jednak przeczekać. Napisała długi, szczery, krwią serca przepojony list do męża i czekała odpowiedzi. Tymczasem zaczęła się starać o paszport, ale pierwsze zaraz próby przekonały ją, że Larchówna miała słusność. Na razie nie można było nawet myśleć o wyjeździe do Konrada.

Oczekiwana odpowiedź nadeszła wkrótce. Był to lakoniczny, a jednak bardzo wymowny telegram: „Natychmiast wracaj do Łykowa i przepraszaj matkę. Żądam tego”.

I więcej nic.

Józia kilkakrotnie, oczom własnym nie wierząc, odczytywała te słowa. Rzuciła blankiet i znowu go brała do ręki.

Tylko tyle? Przepraszaj!.. Więc Konrad może być tak okrutnym, bezlitosnym...

(Ciąg dalszy nastąpi.)